

Widzą we mnie siostrę

U ANNA DYMNA stara się być cały czas komuś potrzebna. Samotnym i bezradnym, wymagającym opieki i pomocy. To, co dla nich robi, jej samej daje siłę. Z aktorką, która pomagając innym, nadała sens swemu życiu, rozmawia Katarzyna T. Nowak.

Twój STYL: Wydaje się, że aktorzy są ludźmi zapartymi w siebie, a tymczasem Pani dostała Medal Brata Alberta za pomaganie ludziom niepełnosprawnym i Order Uśmiechu przyznawany przez dzieci za działalność charytatywną. To dość nietypowe jak na znaną aktorkę, której do szczęścia mogłaby wystarczyć własna popularność.

Anna Dymna: To nieprawda. Wielu aktorów działa charytatywnie. Dziś mamy takie czasy, że mnóstwo ludzi jest bezradnych, samotnych, wymaga opieki i pomocy. I być może ja właśnie jako ta osoba znana, do której podchodzi bezinteresownie wielu ludzi, wiem o tym lepiej niż inni. Grywam najczęściej role ciepłych, sympatycznych, budzących zaufanie kobiet: Marysia Wilczurówna, Barbara Radziwiłłówna czy Marianna w serialu *Siedlisko*. Więc ludzie myślą, że taka jestem i obdarzają mnie zaufaniem. Od lat dostaję całą masę listów, a te listy to ocean samotności i ludzkiego upokorzenia. Musiałam w pewnej chwili zdecydować się, jak wykorzystać swoją twarz: na zgarnianie szmalu w reklamach czy na jakiś szlachetny cel, na przykład na pomaganie innym. I wybrałam to drugie. Chociaż może lepiej byłoby zrobić reklamę i za zdobyte pieniądze jeszcze bardziej pomagać.

TS: Mimo to twierdzą, że i jako aktorka, i jako człowiek mogłaby już Pani spocząć na laurach i nikt by Pani nie miał tego za złe. Co się wydarzyło, że nagle odczuła Pani silną potrzebę pomagania innym?

AD: Był taki okres w moim życiu, kiedy to ja potrzebowałam pomocy: śmierć mojego pierwszego męża, Wieśka Dymnego, potem poważne wypadki samochodowe i długie miesiące rehabilitacji. I ja wtedy nie byłam sama z moim nieszczęściem, dostałam pomoc od kolegów, a nawet od obcych ludzi. Gdyby nie

oni, dawno by mnie nie było. Od tamtego czasu, kiedy ktoś mnie o coś prosi, bo jest mu źle, to pomagam mu nie tyle z poczucia obowiązku, ile z przekonania, że muszę spłacić swój dług. Pewnego dnia ksiądz Tadeusz Zaleski z Radwanowic pod Krakowem, ze schroniska dla ludzi niepełnosprawnych, poprosił, bym została przewodniczącą jury przeglądu teatralnego podczas Ogólnopolskiego Spotkania Integracyjnego Ludzi Niepełnosprawnych Umysłowo. Stało się tam coś dziwnego: zaledwie po półgodzinie miałam setki nowych przyjaciół, byłam otoczona uśmiechniętymi, życzliwymi twarzami, w ogóle nie zauważałam ich rzekomej nienormalności. Od tamtej pory zaczęłam częściej jeździć do Radwanowic. Ksiądz Zaleski dostrzegł, że mam dobry kontakt z niepełnosprawnymi, i coraz bardziej wciągał mnie w tę pracę. Kiedy dwa lata temu dostałam Medal Brata Alberta za działalność na rzecz osób niepełnosprawnych, przeżyłam szok. Ja naprawdę nie miałam pojęcia o tym, że robiąc to, co robię, biorę udział w jakiejkolwiek szumnie nazywanej akcji charytatywnej! Po prostu robiłam to, co uznałam za stosowne i zwyczajne. Czułam się więc zażenowana, że naprawdę nie jestem warta aż takiego odznaczenia. Ale ksiądz Zaleski doskonale wiedział, że jak da je takiej osobie jak ja, to zrobię wszystko, by na ten medal rzeczywiście zasłużyć. Okazuje się, że tak zwani normalni ludzie mogą bardzo dużo zrobić dla tych tak zwanych „nie normalnych”. Mówię „tak zwanych”, bo w rzeczywistości jest na odwrót. To my bywamy ułomni, a nie oni. Zatem postanowiłam pomóc terapeutkom z Radwanowic w prowadzeniu zajęć teatralnych. Sztuka jest – nie tylko dla takich ludzi – najlepszą

terapią. Zaczęłam zatem tworzyć spektakle, a ich przeobraziłam w aktorów. Czułam, że to się uda. W cyklu opowieści biblijnych wystawiliśmy wspólnie *Stworzenie świata* oraz *Wygnanie Adama i Ewy z raju*. I tak jak podejrzewałam, oni, ci rzekomo nienormalni, podeszli do tego tak poważnie jak najlepsi zawodowi aktorzy. W pewnym momencie postanowiłam jeszcze bardziej wciągnąć ich w nasz świat. I dwa lata temu zorganizowałam z pomocą męża, Krzysztofa Orzechowskiego, Ogólnopolski Festiwal Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych Umysłowo *Albertiana* w Teatrze im. Słowackiego. Teraz jak mnie proszą, żebym wzięła udział w jakichś działaniach charytatywnych, to ja ich także w to angażuję. Na przykład w ramach akcji na rzecz bezdomnych dzieci pokazaliśmy na rynku w Skawinie nasz spektakl o wygnaniu z raju.

TS: Jaki wpływ na tę część Pani osobowości, która odczuwa potrzebę pomagania innym, miał dom rodzinny?

AD: Moja mama, która jest dla mnie niedoścignionym ideałem, uważała, że w ogóle żyje się tylko dla innych. Jej potrzeby były dla niej nieważne, ważni byli inni: dzieci, mąż, sąsiadka, nieznajomi potrzebujący pomocy. Wychowała mnie w przekonaniu, że w pobliżu zawsze gdzieś są ludzie, którzy mnie potrzebują. W domu nie mówiło się o pomocy innym, nie nazywało się tego w ten sposób, to był prosty, normalny odruch. Jeśli nasze dzieci będą widziały, że bezdomnemu na ulicy można pomóc, zamiast go kopnąć, to wrażliwość pojawi się u nich w sposób naturalny. Tak stało się z moim synem Michałem. Jestem spokojna o jego stosunek do innych ludzi. ▷



Sztuka jest najlepszą terapią. Z niepełnosprawnymi umysłowo ze schroniska w Radwanowicach koło Krakowa Anna Dymna (w środku) wystawiła cykl epopei biblijnych.



Podchodzą do swoich zadań tak poważnie, jak najlepsi zawodowi aktorzy.

Nie miałam pojęcia, że biorę udział w szumnie nazywanej akcji charytatywnej. Po prostu robiłam to, co uznałam za stosowne i zwyczajne.



Anna Dymna mówi o Swinarskim: Nawet gdy grasz epizod, musisz wiedzieć, kim jesteś, co czujesz.



To my bywamy ułomni, a nie oni, mówi Anna Dymna o swoich aktorach. Wśród nich czuje się dobrze i bezpiecznie.

Pe spektaklu potrzebują pochwał tak samo jak aktorzy zawodowi, którzy jednak wstydzą się ich domagać. Oni nie.

Widzą we mnie siostrę

◁ **TS:** Pisze do Pani wiele kobiet, które straciły męża, pracę, zachorowały i mają poczucie, że już nigdy nie wyjdą ze stanu bezradności i rozpacz. Co Pani radzi tym kobietom z samego dna nieszczęścia?

AD: Najczęściej piszą kobiety niespełnione w życiu, nieszczęśliwe, które znają mój życiorys i widzą we mnie siostrę. Też straciły męża, dom, zdrowie i we mnie widzą wzór, dowód, że można się nie poddawać. Uważają, że skoro ja sobie dałam radę, to one też potrafią. Ale są i takie, które egzaltują się swoim nieszczęściem, swoją samotnością i na przykład proszą, żebym spędziła z nimi wakacje. Odpisuję wtedy, że zamiast zapraszać ze snobizmu znaną aktorkę, powinny się rozjechać, czy koło nich nie ma innej samotnej osoby, której sprawiłoby to prawdziwą radość lub wręcz ocaliło. Radzę im, by tę swoją samotność zamieniły w pomoc dla innych.

TS: A co sprawiło, że wyszła Pani nie tylko obronną ręką z tak poważnych opresji, ale wyszła z nich Pani mocniejsza? Co Pani dało tę siłę po tragicznej śmierci Wiesława Dymnego i wówczas, gdy leżała Pani w szpitalu i wydawało się, że już nigdy nie będzie Pani mogła chodzić?

AD: Zawód. Byłam już wtedy znaną aktorką i wiedziałam, że mam po co zdrowieć, bo na mnie czekają. Ale największą siłę dały mi same pobyty w szpitalach. Ja wciąż potrzebuję rehabilitacji, miewam kłopoty z kręgosłupem i co jakiś czas kładę się do szpitala. Jestem tam otoczona ludźmi tak pokrzywdzonymi przez los, że nie umiałabym skarżyć się na własny. Ci ludzie, niektórzy sparaliżowani, pozbawieni rąk, okaleczeni, potrafią tryskać radością, studiować zaocznie, pomagać sobie nawzajem. I to oni dają mi największą siłę. To w szpitalu odkryłam, że każdy dzień, w którym człowiek może się poruszać, ma dwie ręce i nogi, jest darem od Boga. W tym roku byłam w szpitalu rehabilitacyjnym w Reptach. Spotkałam tam młodych chłopców sparaliżowanych od połowy ciała. Jacyż oni radośni! Rozmawiają, wygłupiają się, flirtują, grają w karty. Jediną metodą na tę rozpaczliwą sytuację, gdy traci się coś bezcennego, męża, zdrowie, pracę, jest zastanowić się nad tym, co się jeszcze ma. Bo zawsze coś się jeszcze ma. Chociażby życie. W Reptach poznałam kobietę, która ze wszystkich kończyn ma już tylko jedną rękę. I ta kobieta urodziła dzieci, szyje, gotuje, robi przetwory, piecze ciasta... Doszła do wniosku, że ta jej jedna ręka to wszystko, co posiada, trzeba się nią zatem cieszyć! Podobno zawsze można znaleźć jakiś powód do radości. Tylko nie zawsze to po-

trafimy. Wielu ludzi pokrzywdzonych przez los zamyka się w sobie i zaczyna pałać nienawiścią do świata. Tymczasem zamiast zamykać się w nienawiści, trzeba otworzyć się na ludzi. Niestety, nienawiść do ludzi i narzekanie na innych i na własny los to nasze cechy narodowe. A przecież wystarczyłoby, zamiast na przykład co rano narzekać, że znów pada deszcz, pomyśleć: „Jak fajnie, że pada, bo tak długo była susza”.

TS: Na ogół najłatwiej jest uspokoić własne sumienie, wręczając datek pieniężny zebrzącemu na ulicy albo na rzecz jakiejś fundacji.

AD: Mam znajomych bezdomnych, którzy koczują na placu przed Starym Teatrem. Dla nich jest dużo ważniejsze, że postoję z nimi i pogadam, niż zupa, którą im kupię. A z dawaniem pieniędzy trzeba uważać. Jest wielu naciągaczy wyspecjalizowanych w ich wyciąganiu. Bywa, że kiedy idę przez miasto, na każdym kroku ktoś mnie zaczepia.

TS: To pytanie jest bezczelne i zbyt dostowne, a jednak je zadam: co Pani z tego ma? Do jakiego stopnia robi to Pani dla siebie, a nie dla innych? Ile jest w Pani egoizmu?

AD: To, co robię, robię w dużej mierze dla siebie. Bo to mi daje siłę. Budzę się rano i mam

Nie ma we mnie żadnej świętości. Człowiek, jeśli robi coś dobrego innemu, robi to dla siebie. Każdy powinien być takim egoistą.

poczucie, że jestem potrzebna. Nie daje mi siły nowy ciuch czy wizyta u kosmetyczki. A egoizmem jest sam fakt, że żyję. Pomaganie innym nadaje sens mojemu życiu. Do Radwanowic jeżdżę dla siebie, bo czuję się tam szczęśliwa. A to, że przy okazji oni też są szczęśliwsi, to jeszcze lepiej. Nie ma we mnie żadnej świętości. Mam 51 lat, jestem starzejącą się aktorką i wiem, że następuje okres odchodzenia. I ja w ten sposób ratuję własne człowieczeństwo. Przemijanie, starość, odchodzenie z życia zawodowego czeka każdego z nas. I tylko od nas zależy, czy ta starość będzie pusta, samotna i rozgoryczona, czy też

ktos będzie nas kochał. Więc ja z egoistycznych pobudek staram się być cały czas komuś potrzebna: bezdomnemu na ulicy, niepełnosprawnemu w Radwanowicach czy studentowi, którego uczę w szkole teatralnej. Kto wie, może jak będę miała 80 lat i nie będę już wychodziła z domu, jakiś mój były student wpadnie na pomysł, żeby mnie odwiedzić? Człowiek, jeśli robi coś dobrego innemu, robi to również dla siebie. Ja bym chciała, by każdy był takim egoistą.

TS: Spotkania z poezją w Teatrze Im. Słowackiego stały się już sławne w Polsce. Na Pani zawołanie przyjeżdżają największe aktorskie gwiazdy: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Andrzej Seweryn, Jan Englert. Przychodzi ich posłuchać wielu samotnych ludzi, dla których jest to czasem jedyna szansa, aby pobyć w lepszym świecie. To także rodzaj pomocy innym. Jak Pani wpadła na ten pozornie już niemodny pomysł, no bo kto chce dziś słuchać wierszy?

AD: Cierpię na bezsenność. Kiedyś w nocy włączyłam telewizor i co widzę? Jakieś pomieszczenie, w nim kilka osób, jedna się myje, druga maluje paznokcie, trzecia siedzi na kanapie – i tyle. Pomyślałam: „Jezus Maria! Co to jest?!” Potem okazało się, że to *Big Brother*. Pomyślałam sobie: „Pora umierać! Po co w ogóle kształcić aktorów?” Zasnęłam i miałam sen, że siedzę w fotelu, czytam wiersze, a cały czas obserwuje mnie kamera. Na drugi dzień poszłam do teatru, zaczęłam Anię Polony i mówię jej, że można by stworzyć taki salon poezji, w którym znani aktorzy czytaliby publiczności wiersze. Już na pierwsze spotkania przyszły takie tłumy, że wielu ludzi słuchało wierszy, cały czas stojąc. I tak jest nadal, a spotkań z poezją było już ponad dwadzieścia. Przychodzą wszyscy ci, których nie stać na kupienie biletu do teatru, także ci samotni, dla których jest to okazja, aby poznać innych. I ja to robię, proszę pani, z egoizmu. Bo dzięki temu wiem, że nie uczyłam się aktorstwa na darmo, że komuś jest to potrzebne. I że są ludzie, którzy zamiast *Big Brothera* wolą posłuchać, jak recytujemy wiersze.

TS: Jest w Pani coś zadziwiającego. Potrafi Pani w ulicznym narkomanie dostrzec człowieka, a w niepełnosprawnym czy okaleczonym jakąś iskrę bożą. Zastanawiam się, czy potrafi Pani również dostrzec ją w kimś, kto wyrządził Pani krzywdę?

AD: Ja nigdy nikogo nie potępiam. I nie sądzę, by jeden człowiek krzywdził drugiego, bo jest z natury zły. Nikt nie wyrządził mi do tej pory jakiejś ogromnej krzywdy. Mam szczęście do spotykania głównie dobrych ludzi.

Rozmawiała KATARZYNA T. NOWAK